

ALFRED ARDEN.

# Zemsta bogini Kali.

Prawo przedruku przekładu zastrzeżone.

21

(Dokończenie).

Olśniewająca jasność buchnęła na pokój, który zadrgał nagle radością i życiem. Wszystkie cienie pochowały się i pokurczyły po kątach.

Spinelli patrzył na Kalchasa w milczeniu, zbierając rozbiegane myśli. Dostrzegł na jego twarzy pod grubą warstwą najróżniejszych szminek ślady wielkiego znużenia. Słuchał jego głosu, łowiąc z trudem sens słów usłyszanych.

— Jak pan mówi? — szeptał niepewnie — że Rama?...

— Nie żyje — uroczyście odpowiedział Kalchas.

— Jaki? Jaki? — krztusił się Spinelli, z twarzą bladą ze wzruszenia jak papier.

— I tym razem nieżyje napewno — ciągnął Kalchas dalej myśl swoją, nie zwracając na dyplomatę uwagi.

Nagle spojrzawszy w twarz Spinellogo wykrzywną niepewnością, pooraną całą gamą najsprzecznějších uczuć rozśmiał się serdecznie, mówiąc:

— Prawda, że muszę pana wprowadzić najpierw w „środek rzeczy“. Opowiem panu wszystko od początku. Wtedy zrozumie pan także sens mego przebrania. Niech pan tylko spokojnie siedzi i słucha.

Muszę panu opowiedzieć przedewszystkiem o dziwnych okolicznościach towarzyszących zamordowaniu Van Gelle'a, okolicznościach dzięki którym Rama zdołał uśpić moją czynność i przygotować sobie teren dla zbrodni.

Oto w trzy dni przed okrutnym zamachem w Stockholmie otrzymałem pewną wiadomość, że Rama przebywa w Benares. Zarządziłem tam natychmiast obławę i byłem narazie spokojny o życie Van Gella. I przez chwilę zdawało się, że triumfuje. Albowiem wkrótce potem radiofon obwiesił mi wstrząsającą wiadomość, że Rama padł z ręki agenta, broniąc się w czasie obławy. Śmierć jego nie podlegała żadnym wątpliwościom. Stwierdzono autentyczność ciała. Przesłano mi iskrową drogą fotografię zwłok Ramy, która w każdym szczególe zgadzała się z naszym albumem. A przecież całą kolekcję zdjęć Ramy mieliśmy u siebie dzięki sprytowi Van Gelle'a!

Niestety w kilka godzin później spadła na mnie jak gron z jasnego nieba wieść o katastrofie w Stockholmie. Raport moich zaufanych ludzi stwierdził, że na kilka godzin przed zbrodnią widziano tam Ramę. Rozumie pan? Nieledwie w jednej i tej samej godzinie Rama poległ w Benares i równocześnie żywy krążył po ulicach Stockholmu!

Czułem się w pierwszej chwili bezradnym. Stałem przed dylematem, który nie mógł się napozór pomieścić w ludzkim rozumie. Ale już po chwili był on mi bardziej jasny niż słońce. Przypominałem sobie bowiem nadzwyczaj dziwny epizod z mego pojedynku z Ramą, który posłużył mi jako nić, dzięki której dotarłem do jądra zagadki niesamowitej „dwoistości“ Ramy.

Było to tuż przed zamordowaniem akrobaty Silvas w cyrku Medrano. Pewnego dnia siedząc w moim biurze otrzymałem niezwykle telefon:

— Mówi Ramajoga — dał się słyszeć szyderczy głos, gdy podjąłem tubę. — Daję panu znać osobiście, że jestem w Paryżu. Strzeż pan swojego pupila! Zobaczmy, czy zdołasz go przed śmiercią obronić!

Nim zdołałem ze zdumienia ochłonać rzucono słuchawkę. Może się pan domyśli, że w tej samej chwili postawiłem na nogi całą tajną policję Paryża. W grę wchodziło teraz już nie tylko życie człowieka, lecz także mój honor. Wkrótce potem wiedziałem już o miejscu zamieszkania Ramy. Postanowiłem osobiście go śledzić. Ucharakteryzowałem się na prowincjonalnego kupca i w tem przebraniu nie spuszczałem zeń oka. Dzień i noc byłem na nogach. Warto było. Miałem godnego partnera. Czekałem sposobnej chwili, by go arestować.

Jakaż była moja radość, gdy ów domniemany Rama, którego twarz zgadzała się z fotografiami Van Gelle'a, kupił w ów pamiętny wieczór bilet na przedstawienie w „Medrano“. Siadłem tuż obok niego, gotowy ubezwładnić go w tej chwili, gdyby tylko zdradził jakiegokolwiek zbrodnicze zamiary. Ale mój towarzysz siedział przez czas cały nieporuszony. Pan wie jak tragicznie skończył się wtedy ten wieczór!... Silvas zginął, ale przysięgam, że nie z ręki tego człowieka, który siedział przy mnie i którego wziąłem za Ramę. Byłem skłonny wtedy przypuszczać, że uległem dziwnemu nieporozumieniu. Na karb przypadku kładłem mą pomyłkę. Gryzłem ręce z rozpacz. Tembardziej, że po przeciwległej stronie cyrku znalazłem w parterowej łoży charakterystyczną łuskę od kuli. Na domiar złego komisarz, który wówczas przeprowadzał śledztwo zaarrestował mnie jako „podejrzanego o współudział w zbrodni“! Nie chciałem zdradzać mego incognito i dopiero prefekt policji a mój przyjaciel Dartigne zwolnił mnie podczas pierwiastkowych badań, nie naruszając oczywiście naszej „tajemnicy“.

Całe to zajęcie wszakże nabrało innego światła w związku z dziwną śmiercią oraz „zmartwychwstaniem“ Ramy, które się wydarzyły tuż przed zamordowaniem Van Gelle'a. Nagle doznałem jakby olśnienia. Zrozumiałem wszystko. Rama miał pośród swoich podwładnych sobowtóra, sobowtóra, który dzięki niestychanemu podobieństwu do kapłana Kali, spełniał rolę „gromochronu“, skupiającego wokół siebie uwagę policji, na to, by właściwy Rama mógł bezpiecznie realizować swe zbrodnicze cele. Czy tym sobowtorem był może jakiś bliźniaczy brat Ramy? Nie wiem, ale niezwykle podobieństwo wyraźnie na to wskazuje.

W świetle tego przypuszczenia, jasne było, że w cyrku „Medrano“ śledziłem sobowtóra Ramy, sobowtóra, który padł w jakiś czas później przeszyty kulą w Benares.

„Szaleńcza, obłądana, niesamowita“ zagadka została zatem nagle rozwiązana. Okazuje się prostą, jasną, nieskomplikowaną. Tylko, że rozwiązanie jej było całkiem spóźnione. Albowiem Rama był górą, Rama triumfował... Już zgładził trzy ofiary. Zrozumiałem, że życie dwóch dalszych jest już policzone, jeśli nie podejmę natychmiastowych, radykalnych kroków. Postanowiłem zatem

rzucić wszystko na szalę, wygrać ostatni atut. Postanowiłem rozegrać ostatni pojedynek z Ramą, pojedynek na śmierć i na życie. Decyzja moja była dziełem jednej chwili...

Miałem plan gotowy. Przypuszczałem, że Ramą, po swoim „zwycięstwie“ w Stockholmie zjawi się tutaj w Florencji, by skończyć równocześnie z panem i z Antonjem. Jak się okazało później nie pomyliłem się w swych obliczeniach. Przyjechał tutaj. Ale jak pan widział nie w swoim zwykłym „wcieleniu“. Tym razem ja postanowiłem odegrać rolę sobowtóra Ramy. Skorzystałem ze swych aktorskich zdolności.

Wczoraj wieczór stanąłem na dworcu we Florencji. Za godzinę znalazłem się w podmiejskiej kawiarni „Pod złotym jeleniem“, która jest oddawna punktem zbornym tutejszych najnikczemniejszych szumowin. Chciałem tu „zasięgnąć języka“. Trafiłem dobrze, jak się okazało. Ledwie bowiem zjawiłem się we drzwiach „kawiarni“ podbiegł do mnie gospodarz.

— To pan tak wcześnie? — zapytał z oznakami żywego szacunku. — Zebranie zacznie się nie przed, jak za dwie godziny. Przypuszczam, że został pan dobrze zawiadomiony?

Zrozumiałem odrazu, że Rama jest już we Florencji i że gospodarz bierze mnie za niego. Była to pochwała oddana kunsztowi mej charakterystyki. Podjąłem oczywiście odrazu swą rolę i bąknąłem coś nieco jako usprawiedliwienie.

Tymczasem gospodarz wprowadził mnie ciemnymi, krętymi przejściami do jakiejś większej, lichy oświetlonej sali, której ściany zdobiły przedziwne kabalistyczne znaki. Zrozumiałem, że jestem w siedzibie, jakiejś tajnej teozoficznej czy okultystycznej łoży, której posiedzenie ma odbyć się wkrótce, i na którym spodziewany jest Rama. Było jasne, że gra staje się niebezpieczna. Byłem sam i nie mogłem się spodziewać pomocy. Ale drugi raz podobna sposobność zetknięcia się twarzą w twarz z Ramą mogła się nie zdarzyć. Postanowiłem więc czekać. Kazałem przynieść gazety i pograżyłem się w bezrozkiej lekturze. Ostatecznie liczyłem na jakiś szczęśliwy przypadek. Minęło półtora godziny. Ani się spostrzegłem, jak skrzypnęły drzwi i goście poczęli się schodzić. Podchodzono do mnie i witano się jak ze starym dobrym znajomym. Zwolna zapełniała się sala. Wchodzili coraz nowi ludzie, przeważnie w maskach na twarzy. Witali się krótkimi monosylabami, gromadząc się pod ścianami i w milczeniu czekali na początek zebrania. Poczuliem się dziwnie nieswojo. Jakiś przykry i przytłaczający nastrój wisiał w tej półciemnej sali, oświetlonej skąpo wiszącą u stropu niewielką lampą naftową. Starałem się wzrokiem przeniknąć tych ludzi, odgadnąć ich tajemnicę: kim są, poco przyszli, czego chcą, na co czekają. Odniosłem jedno wrażenie: byli to ludzie zdecydowani na wszystko. Te nieliczne twarze, których nie chowała maska, nic mi nie wróżyły dobrego. Zdrętwiałem na myśl, co stanie się ze mną, jeśli nagle zjawi się tu Rama.

W tej samej chwili wszakże przyszła mi genialna myśl do głowy. Przybliżyłem się do jednego z spiskowców i odczytałem się głośno, tak by być słyszany przez najwięcej osób:

— Otrzymałem właśnie przed chwilą wiadomość, że ten łotr Kalchas, który mi następuje na pięty od dłuższego czasu, przybył do Florencji dziś wieczornym pociągiem i wesz... Boję się o bezpieczeństwo naszego zebrania. Trzeba podwoić środki ostrożności. Kalchas jest do wszystkiego zdolny. Kto wie — powiedziałem ciszej — czy tu wśród zebranych...

Nie dokończyłem zaczętego zdania, gdyż nagle powiał po zebranych donośny szmer zdumienia i lęku i wszystkie oczy zwróciły się nagle ku drzwiom... Stał w nich Rama. Czy jego spoczywały z osłupieniem na mnie. W półotwartych ustach zamarły mu słowa.

Wykorzystałem w jednej chwili ten moment jego zdumienia. Wystąpiłem naprzód i krzyknąłem grzmiącym, oburzoną głosem.

— Ha! łotrze! Nie udała się sztuczka! Nie spodziewałeś się tego spotkania! Pożegnaj się z życiem Kalchasie!

W oczach Ramy zaigrał teraz ogień wściekłości. Zrozumiał kogo ma przed sobą. Ale już było zapóźno. Osiągnąłem zamierzony skutek. Kilka dziesiąt rąk chwyciło nagle Ramę i powaliło go w jednej chwili na ziemię. Ktoś ciągnął go za włosy i chciał mu koniecznie ściągnąć rzekomą perukę. Lufy browningów chwiały się nad nim złowrogo.

Lecz w tej samej chwili nastąpiła rzecz nieoczekiwana. Usłyszałem jak Rama krzyczy coś do owych prześladowców w hinduskim języku. Widać byli wśród zebranych tacy, którzy władali ojczyzną mową kapłana, gdyż w tej samej chwili szereg głów zwrócił się ku mnie, jakby chcąc usłyszeć odpowiedź.

Zdrętwiałem. Zimny pot mi wystąpił na skórę. W mózgu kłębiły mi się rozpaczliwe myśli. Uświadomiłem sobie w jednej chwili, że przegrywa na życie. Byłem bezbronny. Prócz kilku zaklęć hinduskich, których się nauczyłem na pamięć zupełnie nie znałem tego języka. Stałem milczący, blady, macając kurczowo lufę browninga w kieszeni. Mogło to trwać kilka sekund. Usłyszałem, jak Rama coś przedkłada dalej swoim towarzyszom pewnym i triumfującym tonem. Odstąpiono w tej chwili od niego. Widziałem teraz utkwione w siebie sztylety złych, zimnych, podejrzliwych oczu. A Rama powstał już i strzepnął kurz z poniętego ubrania. Coś krzyknął. W tej chwili otaczająca go gromada ludzi zakolysała się w moją stronę złowrogo.

W obliczu śmierci wróciła mi nagle przytomność umysłu. Zważyłem ostatnie szanse. Błyskawicznym ruchem uniosłem najbliższe krzesło i cisnąłem nim w lampę. Krótki, wściekły w zask... brzęk tłuczonego szkła... rumor mebli i w tej chwili salę ogarnęła ciemność. Jednym skokiem rzuciłem się na Hindusa, usiłując go obalić za ziemię. Szczepiliśmy się, zwarli w żelaznym uścisku. Włóczyliśmy się nawzajem po sali, tarzali po ziemi, roztrzaskując wśród ciemności meble i ludzi, tworząc jedną sapiącą, rozdygotaną, skłębioną, drgającą, żywą masę mięsa.

— Światła! światła! — rozległy się wrzaskliwe ryki. W tej chwili rozbłysło kilka elektrycznych latarek. W ich świetle lśniły trupie twarze otaczających nas ludzi. Nad naszymi głowami migotały białe ostrza gotowych do ciosu sztyletów. Czarne otwory luf chwiały się groźnie nad nami.

Ale nikt Ramie nie przyszedł z pomocą. W oczach wszystkich malowała się głęboka bezradność, gorączka niepewności wypełzała im rumieńcem na twarze. W masie skłębionych ciał nie mogli odróżnić tego, komu mają pomóc. Nie mogli dociec, która z tych twarzy przewalających się na podłodze przed nimi należy do prawdziwego Ramy.

Wyczułem to w jednej chwili i postanowiłem wygrać ten moment. Udałem, że słabnę. Broniłem się jeszcze, ale widać było, że Rama ma nademną przewagę. Już leżał na mnie i gniótł mi kolanami piersi. Już ręka jego macała w fałdach ubrania rękę sztyletu.